

ZWIERCIADŁO

00-490 Warszawa
ul. Wiejska Nr 12

wydanie

Nr 1 z dn. 16-03-78

teatr

Witkacy

Moda na Witkacego nie mija, ale przybiera formy – zwłaszcza w przypadku tego autora – nieco karykaturalne. Oto pisarz, którego dramaty przez długi czas uważano za szczyt niedorzeczności i nonsensu, uznany został nagle za klasykę. Pisarz, którego sztuki stawiały się pretekstem do scenicznego wygłupu, czyli – jak chcieli inscenizatorzy – prezentacji awangardowego teatru, jest traktowany niemal jak wieszcz, prawie na klęczkach. Gdy grubo przed wojną próbowano wystawić w warszawskim Teatrze Małym (sic!) „Tumora Mózgowicza” Witkacego, aktorzy zbuntowali się i ogłosili niemal formalny strajk: oni do takiego głupstwa ręki nie przyłożą. (Dodajmy, że sztuka przeszła wcześniej próbę sceny w Krakowie, gdzie wystawiona przez Teofila Trzcińskiego miała dwa przedstawienia). Dziś pisze się o specjalnym stylu gry aktorskiej w utworach Witkacego. Ale co tam gra aktorska! Pisze się o filozofii i prekursorstwie Witkiewicza, o jego – niegdyś wyśmiewanych – koncepcjach estetycznych, pieczołowicie rekonstruuje kształty przedwojennych spektakli, które schodziły z afisza po kilku przedstawieniach. Równocześnie wydaje się dramaty młodzieńcze, szkice, rysunki, zbiorowe edycje pism filozoficznych i estetycznych, wznawia raz po raz wybór utworów scenicznych, włącza autora „Szewców” do nobilitującej serii „Biblioteki Narodowej”, wreszcie wyszukuje nigdy nie publikowane fragmenty, które sam autor – być może – przeznaczył do kosza.

Interesują się dramatami Witkiewicza już nie teatryki studenckie, ale najpoważniejsze sceny krajowe: najwybitniejsi reżyserzy dają ekscytującą krytykę inscenizacji „Szewców”, „Matki” i kilku innych dramatów. Cały zresztą świat kulturalny docenił zakopiańskiego twórcę, przyznał mu miejsce w pantheonie dwudziestowiecznych rewelatorów sztuki, uznał za wielkość.

W tym kontekście powszechnej fascynacji Witkacym trzeba zobaczyć spektakl zrealizowany przez Tadeusza Minca w warszawskim Teatrze Małym. Za kanwę posłużyły odnalezione niedawno fragmenty dramatyczne, dla których Konstanty Puzyra – jeden z najwybitniejszych interpretatorów Witkiewicza – wymyślił nazwę „Dramat nie rozpoznany”. Ponieważ są to jedynie luźne sceny i trudno byłoby z nich skonstruować przedstawienie, reżyser rzecz obudował ramami

z autentycznych wspomnień Czesławy Korzeniowskiej o ostatnich chwilach Stanisława Ignacego Witkiewicza. W ten sposób dość blachy, przegadany, glucho rezonujący tekst, w którym wracają po raz któryś podstawowe kwestie Witkacego, „zagrał” inaczej skojarzony z faktami prawdziwymi. Historia Karnaka i Józefa stała się repliką dramatu autora, dywagacje bohaterów zabrzmiały niemal jak dyskursywne wypowiedzi Witkiewicza. Czyż zresztą wszystkie utwory literackie autora „Nienasyceńca” nie są wielkim, rozpisany na głosy, monologiem myśliciela i filozofa, który zmagą się wciąż z tymi samymi, obsesyjnie powracającymi dylematami? Nowością w „Dramacie...” jest problematyka dobra i zła, ale przeprowadzona niezbyt konsekwentnie – zresztą pamiętajmy, że mamy do czynienia ze strzępami jakiejś większej całości.

Pomysł Minca, dotyczący połączenia różnych tekstów, choć oczywiście podniósł rangę przedstawienia – całości nie uratował. W rezultacie jest w przedstawieniu kilka niezłych scen, są jednak także dłużyzny i sekwencje nieudane. Z pomieszania kilku stylów: nastrojowej groteski, pure-nonsensu i trochę dętej, ale witkacowskiej retoryki niemal już wytłania się jakiś wspólny nastrój. W końcu jednak rozmazuje się on, pozostaje nijaki. Właściwie trudno określić, na czym polega ów niedomiar. Bierze się zapewne po prostu z braku samego dramatu.

Podobnie ma się sprawa z grą aktorów. Wielu można zdawkowo pochwalić, ale żaden właściwie nie stworzył ja-

kiejś godnej zapamiętania kreacji. Dobrze wypadły sceny zbiorowe, co jest zasługą aktorów grających role epizodyczne i oczywiście reżysera.

Spektakl w Teatrze Małym rodzi, a właściwie przypomina dwa pytania. Pierwsze brzmi: jak grać Witkacego? Sam mistrz z Zakopanego radził wystawiać swe dramaty zgodnie z didaskaliami, bez wygłupu czy ugroteskawiania na siłę. W naturalnej scenerii miały sztuki Witkiewicza wyraźniej ujawniać swe metafizyczne znaczenie. Teatry nasze proponują ostatnio inny styl interpretacji Witkacego – już u podstawy groteskowy, mieszający filozofię z cyrkiem, poważne roztrząsania z zabawą. Tak też jest u Minca. Sprawa druga to czy warto w ogóle wprowadzać na scenę utwory typu „Dramatu nie rozpoznanego” czy wystawionej wcześniej w Ateum „Panny Tutli-Putli”? Czy nie lepiej pozostać przy nieco mniejszym repertuarze dramatów Witkacego, ale równocześnie repertuarze rzeczywiście wybitnym?

KRZYSZTOF PYSIAK

PS. Zwrócono mi uwagę, że w felietonie o „Śnie srebrnym Salomei” pominąłem nazwisko Kazimierza Janusa – aktora grającego niemą, ale ważną rolę Anioła. Wkradł się także zamęt do podpisu pod zdjęciem z tego spektaklu. Jak wszyscy zapewne rozpoznali, przedstawia ono na pierwszym planie Grażynę Szapolowską grającą Księżniczkę, na drugim zaś Wojciecha Siemionę – Wernyhorę.

Teatr Mały. Stanisław Ignacy Witkiewicz: „Dramat nie rozpoznany”. Opracowanie tekstu i reżyseria: Tadeusz Minc. Scenografia: Andrzej Sadowski. Muzyka: Jacek Sobieski.



Ewa Żukowska i Krzysztof Wakuliński.

Zdjęcie: CAF